

## **Mój wrzesień 1939r**

Rok 1939. Mieszkaliśmy we wsi niedaleko Naroczy na Wileńszczyźnie. Był koniec sierpnia. Musieliśmy wykopać zagonek ziemniaków przy zagrodzie. Zobaczyliśmy pędzącego przez pole jeźdźca z chorągiewką. Koń mknął prosto na nas. Zatrzymał się jak na komendę. Posłaniec zapytał o nazwisko i wręczył jakiś papier. Okazało się, że ojciec musi oddać karego konia na potrzeby wojska.

Już wcześniej chodziły słuchy, że będzie mobilizacja. Cztery osoby z naszej wsi otrzymały karty poborowe. Wtedy też przekonaliśmy się jak sąsiedzi Białorusini nienawidzili Polski.

Kobiety lamentowały, że ich synowie będą łożyli głowy za polskich panów grubasów, obzartuchów, krwiopijców itp. Ojciec nie podlegał poborowi. Odprowadził konia do jednostki k/Wilna. Mama otrzymała list od brata Feliksa z punktu poborowego. Prosił, aby na wypadek jego śmierci zaopiekowała się ojcem. Babcia już nie żyła. W końcu sierpnia poszliśmy do Kobylnika do kościoła. W miasteczku zbierano kosztowności i pieniądze na Fundusz Obrony Narodowej. Ksiądz proboszcz Pawłowicz ogłosił z ambony, że spotkanie odbędzie się w Domu Ludowym. Panie ziemianki oddawały broszki, krzyżyki, pierścionki, panowie sygnety, papierońnice srebrne, drogie spinki. Mama miała grubą złotą obrączkę. Ktoś zagadnął, żeby ją oddała. Mama odpowiedziała, że to ślubna. Dała od nas dziesięć złotych na FON.

Pamiętam, jak komentowano w rodzinie wiadomości z gazet. Ojciec prenumerował tygodnik „Rolnik i Zagroda”. Gazety pisały, że wojsko polskie jest dobrze uzbrojone, że żołnierze stoją na placówkach i nie boją się wroga. Pamiętam okrzyki w miasteczku, że nie oddamy piędzi ziemi. Boże, jacy byliśmy naiwni?

Przyszedł 1 września

We wsi było jedno radio słuchawkowe.

Jego właściciele przekazywali wiadomości. Różnie je komentowano. Kto miał pieniądze, kupował sól, zapalki, naftę. Przyszedł dzień pierwszego września. Poszliśmy z siostrą do szkoły, obie do drugiej klasy szkoły początkowej w Plecieszach. Dzień był smutny. Nauczycielka p. Aldona Mikieszko powiedziała nam, że Niemcy wypowiedziały wojnę Polsce. Mówiła, że będą latały samoloty i zrzucały bomby. Mówiła, jak rozpoznać samolot polski i niemiecki. Narysowała czarną swastykę na tablicy i biało-czerwoną szachownicę. Przestrzegała dzieci, aby nie podnosiły ładnych zabawek z ziemi, że będą je zrzucali Niemcy z samolotów, mogą być to pułapki, w których znajdzie się materiał wybuchowy. Przestrzegała też o tym, że może być użyty gaz trujący, i jak się przed nim ratować. Należy mieć przy sobie wilgotną chusteczkę i przez nią oddychać. Gdyby nie było wody w pobliżu, trzeba użyć moczu. Mówiła, gdzie i jak się zachować w czasie bombardowania.

Zakup karabinu od szkoły

W następnym dniu nauczycielka ogłosiła zbiórkę pieniężną na zakup karabinu maszynowego od naszej szkoły. Rozprowadzała papierowe plakietki z wizerunkiem żołnierza. Kupiłam jedną za 5 groszy i długo ją przechowywałam. Przynosiliśmy do szkoły kule. Były to pozostałości z I wojny światowej. Przez nasze pola przechodził front w 1917

r., były okopy i niewypały. Ołów był potrzebny.

Na lotnisku trawiasnym w Kobylniku wylądował polski samolot. Ojciec mówił, że zabrakło mu paliwa, pilot nie mógł lecieć dalej. Oblał go benzyną i podpalił, a do jednostki wrócił pociągiem. Ludzie rozdarli aluminiową blachę. Kawałki z biało-czerwonymi znakami długo leżały u nas pod spichlerzem.

W niedzielę na kazaniu ks. proboszcz powiedział, że w niedzielę po nabożeństwie można pracować w polu, że należy pomagać rodzinom, w których gospodarz poszedł na wojnę. Pogoda była przepiękna. We wrześniu kopaliśmy ziemniaki. Pracowała cała czwórka dzieci, nawet czteroletni Lubomir. Czasem ktoś otrzymał list z frontu. Wieści były smutne...

*Maria Rutkowska - Kupran*